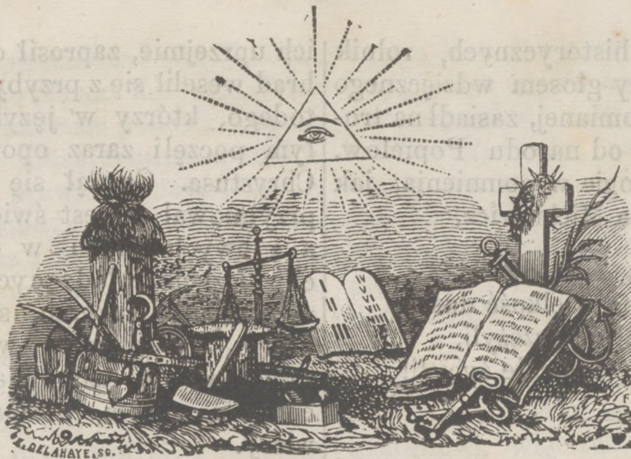
№ 33.

WARSZAWA.

16 Sierpnia.

1863.



REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnéj

Nr. 1527.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

TREŚĆ: Jest temu lat tysiąc.— Dwaj bracia Litwini, dokończenie powiastki.— Pielęgnowanie chorych (dalszy ciąg).— Różności Coby robić powinny dobre a rostropne dzieci.

Jest temu lat tysiąc.

I.

Tak moi rodacy, tysiąc to już lat upływa od chwili, w której na ziemi słowiańskiéj, na ziemi Polskiej, spełniły się dwa wielkie zdarzenia: przyjęcie religii chrześcijańskiej w zachodniej Słowiańszczyźnie, i obranie Piasta królem polskim. Zdarzenia te, jakby promienie wschodzącego słońca rzuciły błogosławiony blask, co miał następnie w pełne światło się zmienić, i oświecić niem ową ukochaną krainę, ów lud poczciwy, tak bogaty w moralne skarby duszy, tak przywiązany do swej ojczystej ziemi, że mimo tylu burz czasu zachował dotąd szeroką puściznę Naddziadów, tyle razy krwią ich oblaną. O, wspomnienie tych dwóch wypadków, chociaż oddzielonych tylu wiekami, drogiem jest dla nas i drogiem zaprawdę być powinno, bo z tych wspomnień płynie nierozerwana nić przeszłości, przeszłości tak opromienionej sławą, tak bogatej cnotami i poświęceniem. Biada temu ludowi, dla którego wspomnienia przeszłości jego Ojczyzny, byłyby obojętne, dla którego religija, język, narodowe obyczaje i cnoty, nie miałyby świętej wartości, bo taki lud z łatwością zmieni wiarę, zapomni ojczystego języka, przejmie obce obyczaje, i zginie w tłumie obcym, bez żalu, bez tęsknoty za domowem ogniskiem i grobami Ojców swoich. Nie uszanował wspomnień przeszłości, nie doczeka się i żadnej przyszłości. Strzeżmy się tego, o kochani bracia, jak morowej zarazy, która odbiera życie tylko pojedynczym ludziom, a obojętność na ojczyste wspomnienia zabija narody! Dlatego dziś, gdy ludy słowiańskie: Morawianie, Czesi i inni, całoroczną uroczystością religijną obchodzą tysiącletnią rocznicę zaszczepienia w owych krainach wiary chrześcijańskiej, i my Polacy nie możemy pozostać obojętni na ową wielką uroczystość i przywołując wspomnienia tego wielkiego wypadku, który temu lat miał tysiąc miejsce, pamiętać powinniśmy, że z ową rocznicą, łączy się druga nie mniej ważna, a dla nas droga niewymownie. Tysiąc bowiem także lat temu,

jak według podań historycznych, rolnik kruszwicki Piast, obrany głosem wdzięcznego ludu, z pod strzechy słomianej, zasiadł na tronie znienawidzonych od narodu Popielów. O, gdybyśmy na te drogie wspomnienia, jak mówi wielki nasz poeta Mickiewicz,

Uczuli w sobie dawne serca bicie,
Uczuli w sobie dawną wielkość duszy,
I chwilę jedną tak górnie przeżyli,
Jako przodkowie niegdyś całe życie!!!

Na rozległym obszarze ziemi słowiańskiej w zachodniej stronie, którą niebotyczne Karpaty i morze Baltyckie ujęło w swoje ramiona, w pośród licznych ludów słowiańskich rządzących się przed tysiącem lat oddzielnie, trzy tylko naprzód urządziły się w państwa. Morawianie osiedli nad rzeką Morawą, Czesi nad rzeką Mołdawą, i Polanie czyli Polacy między Wisłą, Odrą i Wartą. We mgle odległych wieków, ukazuje się państwo Wielko-morawskie, na owe czasy dosyć potężne, które połączyło z sobą blizkie ludy słowiańskie. A w owem państwie Wielko-morawskiem stolicą było miasto Wellhrad, gród wspaniały, bogaty i ludny. Mieszkał w nim około roku 860 dzielny król Rościsław, który szczerze kochając lud swój, zapragnął dla niego największego szczęścia obok swobody, to jest zbawienia. Król Rościsław słyszał już cokolwiek o świętych Apostołach, którzy lud słowiański nauki Chrystusa nauczali, słyszał jak błogie skutki sprowadza ta nauka, więc też wysłał zaufanych do dwóch tych Apostołów z usilną prośbą, aby przybyli do Wellhradu. Jak nas stare kroniki nauczają, r. 863 przybył św. Cyryll i Metodyusz, aby słowo Boże głosić poczciwemu lecz ciemnemu jeszcze ludowi. Nie pierwsza to była ich praca, bo już Bulgarowie co siedzieli nad rzeką Wołgą, Chazarowie nad Dnieprem i różne ludy w około Karpat, poznały od nich zasady świętej ewangielii. Wyszedł na spotkanie świątobliwych apostołów król Rościsław, przybrany w bogate szaty, wraz ze swą małżonką Miłosławą, a pozdrowiwszy ich uprzejmie, zaprosił do zamku. Cały Wellhrad weselił się z przybycia św. Cyrylla i Metodego, którzy w języku ludowi zrozumiałym poczęli zaraz opowiadać zasady nauki Chrystusa. Garnął się do nich lud tłumnie, przyjmował chrzest święty, i rok nie upłynął, a z owych pogan w ciemnościach bałwochwalczych błądzących, stał się lud zdrowy i czysty na sercu, silny umysłem i wolą, który wytrwawszy wśród tylowiekowych zamętów, do dziś dnia zachował nieskalane cnoty praojców, czerpane u źródła świętej wiary.

Nie poprzestali na tej pracy gorliwi rozkrzewiciele nauki Zbawiciela, wiedzieli, że ziemia słowiańska rozległa, że ludy słowiańskie liczne, a słysząc o cnotach prawdziwie chrześcijańskich ludu Polan czyli Polaków, co mieszkał między Wartą a Wisłą, udali się w tamte strony, i jak podanie mówi, w tymże samym roku 863 św. Cyryll i Metodyusz przybyć mieli do Kruszwicy nad Gopłem, która była wówczas stolicą Popiela, władcy Polanów.

W Wellhradzie więc zajaśniała pierwsza gwiazda chrześcijaństwa dla zachodniej słowiańszczyzny, w Wellhradzie też dzisiaj, nasi pobratymcy Morawcy, Czesi i inne ludy słowiańskie obchodzą uroczyście tę wielką pamiątkę, a chociaż zniknęła dawna wielkość państwa Moraw, zniszczał wspaniały niegdyś gród Wellhradu, nie zaginęła przecież pamięć, wspomnienie tego wielkiego zdarzenia, które lud wierny w sercach swoich przechował i po tysiącu latach, po dziesięciu wiekach, odnawia ją tak silnie, jak silną jest jego wiara i miłość ojczyzny.

(Dokończenie nastąpi.)

(*) Bliższe szczegóły o tych świętych apostołach, podamy oddzielnie.

DWAJ BRACIA LITWINI.

Powiastka z czasów Króla Sobieskiego.

III.

(Dokończenie)

Janek w niewoli, a Szymek w bitwie pod Żurawnem.

Po zwycięstwach króla Sobka, bo tak wtedy nazywano Sobieskiego, reszty tureckiego

wojska nadciągnęły śpiesznie za rzekę Dniestr, co do morza Czarnego płynie. Król pędził ich przed sobą aż pod Kamieniec podolski i spalił im miasto Soczawę, którą szturmem zdobywać musiał. Gdy tak prawie już całą Ukrainę od nieprzyjaciół oswobodził, powrócił do Krakowa, i dopiero teraz z żoną swoją ukoronował się przy wielkiej uroczystości. Był to król tak pięknego serca, iż powiedział narodowi, że dopiero wtedy przyjmie koronę na głowę, kiedy się jéj stanie godnym, to jest jak nieprzyjaciół pobije. Co też święcie dopełnił. A był on wybrany przez naród z prostego szlachcica na króla, jak to było wtedy w zwyczaju w Polsce. Wprzód jeszcze pan Hetman Litewski odciągnął z wojskiem litewskiem na Litwę, a z nim musiałby był wrócić i Szymon Ciwuń, bo należał do litewskich szeregów; ale on tak sobie upodobał wojenkę i prócz tego bez brata nie miał serca powracać do starego ojca swojego, że prosił hetmana, aby mu pozwolił, i nadal wojować na Ukrainie. Myślał on potem, że może Bóg mu dozwoli wziąść w niewolę jakiego znacznego Turka, i za niego zrobić zamianę na brata. Pan hetman Pac tak mu wtedy odpowiedział:

— Dobrze! mój zuchu, zostań i bij się, ale dodał z uśmiechem, tylko za gardło swoich niewolników mocno nie ściskaj, boby za trupa nie oddano ci żywego brata.

Został więc Szymek w szeregach królewskich i podczas kiedy król koronował się w Krakowie, on tymczasem na Rusi i na Podolu razem z drugimi objeżdżał miasta i wioski i wyglądał tureckiego wojska.

Niedługo też czekał na nieprzyjaciela i niedługo król po wojnie mógł odpoczywać; bo oto w rok potém przypędzili gońcy do króla z wiadomością straszną, że ten sam Ibrahim Szatan i nowy Seraskier, t. j. wódz Turecki, z większą jeszcze chmarą wojska nagle wkroczyli w granice Polski. Było tego wojska ośmdziesiąt tysięcy Turków i sto trzydzieści tysięcy Tatarów. Ci dwaj dowódzcy pogańscy po dawnemu zaczęli plądrować po Podolu i na Rusi Czerwonéj, że zaś nigdzie nie napotkali silnych oddziałów polskiego wojska, więc znęcali się strasznie nad Podolanami i nad Rusinami, a ludu w niewolę brali po drodze, co niemiara, bo każdy wpadał w ich ręce dzikie, kto nie zdążył zemknąć w niedostępne lasy lub góry. Prowadzili oni z sobą trzy tysiące wozów naładowanych bogatą grabieżą z polskiéj ziemi, bo obdzierali ze złota i srebra kościoły, zabierali drogie naczynia i szaty po miastach i dworach; przytém pędzili stada bydła i koni z polskich obór i stajen zabrane. Prócz tego prowadzili z sobą piętnaście tysięcy jeńców polskich, których po drogach chwytali.

Między niewolnikami był i nasz Janek, poprzednio już, jak wiemy pojmany. Dorodny i silny mężczyzna spodobał się Ibrahimowi Szatanowi, więc też wziął go z sobą na swoje stepy, tam przez pół roku pasł barany dniem, a wieczorami do kuchni Ibrahima musiał drwa rąbać, wodę nosić lub czyścić stajnie. Przykroż i boleśnie było biednemu Polakowi o kilkaset mil od Ojczyzny usługiwać się poganinowi, a nieraz nawet od tureckich dozorców ucierpieć wiele, bo i Turków jest zwyczaj bić w pięty kijami za najmniejsze przewinienie. Kara taka nazywa się u nich basarunkiem, a tych basarunków nie żałowali oni nigdy niewolnikom polskim, których z pogardą psami niewiernymi zwali. Przed wyciągnięciem na tę drugą wojnę do Polski, Ibrahim zawołał Janka do siebie, palił on wtedy fajkę z długiego cybucha, siedział na ziemi z założonemi nogami pod siebie, a na głowie miał ogromny zawój. Kiedy wszedł Janek, Ibrahim spojrzał na niego bystro swem szatańskiem okiem, że biedny Janek myślał, iż mu zapewne przyjdzie ze światem się pożegnać; ale Turek kazał mu powiedzieć przez tłumacza, co rozumiał po polsku, iż go przeznacza do swoich usług za to, że mu wiernie dotąd służył. Kazał więc go zaraz ubrać po turecku w trzewiki, szerokie spodnie, w kaftan i zawój na głowie, a w dowód łaski kazał mu gładko ogolić głowę i tylko na saméj czuprynie jeden kosmyk zostawić, jak Turcy chodzili. Kiedy zaś mówić do niego będzie, to ręce zawsze w krzyż złożone na piersiach trzymać będzie musiał.

I cóż miał biedny Janek robić? Westchnął boleśnie, ale słuchać musiał, jeżeli mu życie było miłe. Czekał tylko w milczeniu chwili, aby mógł być kiedy bliżéj Polski, i wtedy od Turków uciec. Zresztą polecił się szczerze Panu Bogu i nie tracił ufności, bo oto Ibrahim Szatan naraz zerwał się do wojny i ra-

zem z Seraskierem wyciągnął na Polskę z ogromnem wojskiem, jak się to już wyżéj rzekło. Gdy się król Sobieski dowiedział o tym niespodziewanym napadzie, kazał zwołać pode Lwów wszystko wojsko, jakie było w okolicach Rusi i Podola, ale tego wojska nie wiele mu przyszło, bo wiele pułków rozpuszcznych zostało po kwaterach na całej Polsce. Że zaś czasu już mało było, bo Turcy i Tatarzy już zaledwo o 20 mil ode Lwowa byli, więc król nie tracąc czasu, wyruszył w pole z wojskiem, którego miał 10,000. Z tą małą siłą stanął obozem nad rzeką Dniestrem obok miasteczka Żurawna, które nad tą rzeką leży, było to dnia 24 września, sto dziewięćdziesiąt siedm lat temu. Po drugiej stronie rzeki zdaleka bielały się namioty Turków na rozległem polu, niby niezliczone stada białych gęsi, a było razem tych bisurmanów dwieście dziesięć tysięcy, czyli że na jednego Polaka było dwustu jeden Turków! Cóż powiecie na to? Może król Sobek struchlał, może prosił o pokój, o nie, bynajmniej! Kiedy Turcy już się przeprawili przez rzekę, kazał on obóz do koła okopać, potem obstawić się wozami dokoła i tak czekał na napaść, a sam tymczasem to wysyłał konnicę, żeby niepokoić Turków, to znowu sam z paru tysiącami ludzi wypadał cichaczem w nocy, i bił straszliwie naprzód wysunięte oddziały tureckie. Tak go się zresztą Turcy bali, że choćby ich stu na niego wyszło, to pierzchali przed jego szablą, bo ta szabla w ręku silnego króla bez odpoczynku głowy Turkom ścinała. Innym razem Turcy znowu podkradali się pod mały obóz polski, ale ich król ze stratą odpędził. Wtém przybywa królowi trzy tysiące wojska na pomoc, i wiecie kto ich sprowadził? Oto nasz Szymek Ciwuń, był on w tedy już podoficerem, a sam się był wprosił, aby mu król pozwolił z innymi z okolic zbierać oddziały. Ale cóż znaczyło i te trzy tysiące ludzi przeciw tak wielkiéj potędze Turków? Już dni kilkanaście biją się ciągle oba wojska, giną jak muchy Turcy, ale też i naszych po trochu ubywa. Deszcz jesienny lał całemi dniami jak z cebra, upływa już trzeci tydzień, a tu z nikąd Polakom nie przybywa ani ludzi ani żywności, głód czuć się już dawał, a prochu i kul zaczynało brakować. Król zwołał jenerałów na radę do swojego obozu i postanowił, jak deszcze ulewne ustaną, napaść na obóz Turków i albo ich rozbić albo też poledz wszystkim z chwałą, bo inaczéj jeżeli nie kule Tureckie, to sam głód dobiłby Polaków do szczętu. Jenerałowie zgodzili się na to, bo cóż było zrobić? lepsza śmierć od kuli niż z głodu, więc ze spuszczoną głową żegnali króla, który pokręcił wąsa wesoło i zawstydził dowódzców, że ducha tracą. Jeden tylko generał p. Marcin Kącki, co dowodził armatami, nie tracił ducha i nadziei w Bogu, wiedział też przytem, jak to się wojsko polskie bić umie, bo on sam, już nie raz wygrywał bitwy, gdzie jeden Polak szedł na piętnastu nieprzyjaciół.

Czuł ten smutek i Szymek, i bolał podwójnie, raz, że Turkowi nic zrobić nie można i potem, że z bratem swoim nigdy się już pewnie nie zobaczy! Pewnego wieczora, a było to w połowie miesiąca Października stał on na straży niedaleko obozu przy zamku Żurawińskim, i nucił sobie z cicha dumkę żołnierską:

> Jedzie żołnierz polem, lasem,
> Przymierając z głodu czasem.“

Zamyślił się potém głęboko, westchnął i obejrzał wstążkę co mu ją Hanka dała, a którą zawsze nosił na piersiach. Zamek Żurawiński niegdyś był ogromny, a dziś, miał dach zerwany, okna wybite i mury porozwalane, bo kiedyś ten zamek Turcy zniszczyli. Kiedy Szymek zeszedł ze straży, głód mu mocno dokuczał, więc zgłodzony i przeziębnięty zaczął chodzić po gruzach zamku, czyby tam czegoś do zjedzenia lub wypicia nie znalazł. Wiedział on dobrze, że dawniej panowie w zamkowych piwnicach miewali całe beczki i kufy starego, dobrego wina, więc też i łyknął ślinkę na to wspomnienie. Z tą myślą zeszedł po schodach do zamkowych lochów, księżyc wtedy świecił jak rybie oko, więc też przez okienka do piwnic przechodziły jasne promienie, tak, że już po omacku Szymek nie utykał. Chodzi tu i owdzie, wina niema i niema, ale za to za dziesiątemi może drzwiami potrąca o jakieś dwie grube rury żelazne, przygląda się, aż to ogromne armaty, a przy nich leżało kul żelaznych może ze dwadzieścia i beczek prochu też kilka było.

— Chryste panie! zawołał Szymek, toć jeszcze takich ogromnych armat nigdy w życiu ... nie widziałem, a toć to jak kłody dę-

bowe. Ale kule to tak wielkie jak kufy z gorzałką! snać musieli wszyscy w tym zamku kiedyś zginąć, że to wszystko tak tu głęboko w ziemi marnieje.

Uradowany Szymek zapomniał o głodzie i winie, i poszedł donieść panu Kąckiemu, dowódzcy artyleryi, to jest armat, o tem, że tyle kul i prochu wynalazł. Dowiedział się i król o tem z radością, a pan Kącki kazał na wierzch to wszystko wydobyć, i zaraz nabili te dwie armaciska ogromne kulami i prochem, i jeszcze téj nocy kilkanaście razy strzelono do tureckiego obozu. Huk był tak wielki, a ziemia trzęsła się jakby febrę cierpiała, i nikt z całego wojska polskiego nie słyszał w życiu swojem takiego huku, prócz jenerała Kąckiego i króla, bo oni obaj więcej życia na wojnie strawili niż w domu. Wiedział dobrze pan Kącki, jakiego strachu przezto Turkom napędzi, niedługo też, gdy strzały ustały, usłyszano zdala jakieś krzyki w ich obozie, a potem długo w noc całą był tam gwar taki, jak to brzęczą pszczoły, kiedy się roją. Za chwilę wszystko ucichło, oba obozy spały, tylko straże chodziły do koła. Obóz polski zasłaniały wzgórza, stąd też Turcy dobrze go widzieć nie mogli. Król już téj nocy nie spał wcale, tylko chodził z swym ukochanym osiwiałym jenerałem Kąckim, i naradzał się o bitwie, którą jutro chciał zakończyć los przykry. Obaj ci wojacy mieli złocone zbroje na sobie, które przy księżycu zdaleka pięknie błyszczały.

Kiedy się tak przechodzą, naraz pada pod nogi królowi z za wzgórka strzała, a przy niej wisiała karteczka. Zdziwiony król podnosi to, pokazuje Kąckiemu, że zaś coś drobnego było na niej pisane, więc nie mogli przeczytać jej przy księżycu, ale podeszli do ogniska, które się przy obozie paliło. Na karteczce przeczytali te słowa:

Dwie kule armatnie wpadły w sam środek obozu, jedna rozerwała namiot samego Ibrahima Szatana. Turcy są w strachu, myślą oni, że Polakom nowe wojska przyszły na pomoc z armatami. Przytem janczarskie pułki się buntują, nie chcą już dłużej stać na polu o głodzie i bez korzyści. Nie traćcie odwagi, pewnie będą was prosić o pokój. Jest wraz ze mną w niewoli piętnaście tysięcy Polaków.

Na spodzie karteczki było podpisane Jan Ciwuń.

— Niech Bóg da zdrowie temu Ciwuniowi, rzekł uradowany król, teraz będę wiedział, jak z mańki zagrać tym psom bisurmańskim. Każ jenerale, zebrać się o świcie wojsku w szeregi i wystąpimy na wzgórza do ataku. Jeżeli o pokój prosić nas Turek nie będzie, to uderzymy na niego z całą gwałtownością, mam w Bogu nadzieję, że dobrze nam pójdzie, bo strach ma duże oczy, a przytem w wojsku tureckiem bunt się objawił, co nam bardzo na rękę.

Jenerał Kącki wydał rozkazy wojsku, a kiedy Szymka zobaczył nad ranem w szeregu, opowiedział mu, co zaszło. Biedny Szymek z radości łzą się zalał, tak się ucieszył, że brat jego jeszcze zdrów żyje, iż taką przysługę uczynił.

— O! mój Boże, powiedział, jak to dobrze, że Janek umie czytać i pisać, przez co tak wielką przysługę całemu wojsku zrobił. O! czemu ja się uczyć nie chciałem, pomyślał sobie w duchu. Nim pułki wystąpiły z obozu, kazał król o świcie bębnić i grać muzyce z daleka za obozem na znak, że to niby nowe mu wojsko przychodzi, a potém wszyscy ogromnym głosem zaśpiewali pieśń *Boga rodzico, Dziewico, Marya*, jak to mieli zwyczaj czynić Polacy, kiedy do bitwy się szykowali; pieśń tę dobrze Turcy już znali.

Wtém król wyszedł na wzgórze i ujrzał, jak z daleka z obozu tureckiego jakieś pułki precz odchodzą. Domyślał się król, że to byli ci janczarowie, to jest piechota turecka, która się zbuntowała i dłużej już obozem niechciała stać. Król zakręcił wąsa z radością i zeszedł ze wzgórza ku wojsku. Wtem jacyś dwaj jezdcy na koniach się pojawiają od strony Turków, a w ręku wiewają białemi chorągiewkami na znak, że chcą coś w pokoju z polakami mówić. Wysłał też i król dwóch jezdnych i dowiedział się za chwilę, że Turcy proszą o pokój. Niedługo przyjechało dwóch tureckich baszów konno i weszli do namiotu króla, tam mu złożyli bogate podarunki w klejnotach i w zbrojach, i prosili w imieniu Ibrahima o pokój. Król nie łatwo się na oko skłaniał do pokoju, ale w końcu przystał na niego z tym warunkiem, aby Turcy z Ukrainy precz sobie poszli, ażeby wydali wszystkich jeńców Polskich i wszystkie wozy ze zdobyczą, jaką z Polski zabrali. Turcy zgodzili się na to i nie-

długo piętnaście tysięcy Polaków z niewoli odstawili królowi, i przywieźli trzy tysięcy wozów, które bogactwami polskiemi napełnili. Potem Turcy spiesznie za rzekę Dniestr w swoje kraje pociągnęli. Stało się to 17 Października 1676 roku.

Niezmierna radość zapanowała w obozie Polskim, ojciec syna, syn ojca, brat brata witał z niewoli. Szymek uwijał się jak pliszka w tłumie, szukając brata, i już się zaczął smucić na nowo, kiedy nie mógł wyszukać Janka, gdy w tem jakiś Turek w zawoju na głowie, w kaftanie i szerokich hajdawarach wychodzi z tłumu do niego i woła.

— Cóż to, nie poznajesz mnie Szymku?

Wtedy skoczył Szymek ku niemu, objął go za szyję, i obaj bracia to płakali, to się śmieli zradości.

Mężny król Sobieski cudem prawie ocaliwszy szczupłe wojsko swoje, klęczał długo na mszy świętej w obozie z całem wojskiem i wszystkiemi jeńcami, i dziękował Najwyższemu za to zwycięztwo. Potem podał swą dłoń królewską mężnym dwóm braciom Litwinom, podziękował im za przysługi oddane Ojczyźnie, darował każdemu po koniu tureckim i każdemu z nich dał na pamiątkę po szabli wysadzanej drogiemi kamieniami: krzyżów i orderów za dawniejszych polskich czasów nieprzypinano nikomu. Prócz tego, gdy się dowiedział, że mają jeszcze starego ojca na zagrodzie, przyrzekł im, że za grunt dziedzicowi zapłaci, aby ojciec taki co wychował tak dzielnych wojaków nie robił już więcj pańszczyzny lecz by miał zagrodę własną dla siebie i dla potomków. Po tej wojnie od strony Turków na czas niejaki był pokój zupełny.

IV

Szymek i Janek jadą z wojny do domu.

W domku gajowego w lesie nad rzeczką Kotrą było smutno od dwóch lat. Pociecha rodziców piękna Hanka, niegdyś tak wesoła, szczebliotliwa i poskoczna jak sroczka, dziś posmutniała bardzo, bo oto od tak dawna nie ma słuchu o Szymku, słychać tylko było, że na Ukrainie wre wojna straszliwa.

— Może zabity!... A może o mnie zapomniał? Myślała sobie i mówiła dawną piosnkę, ale już nie tak wesoło jak dawniej, tylko w tych smutnych słowach.

„Powiedz mi matko? o jakiéj porze
Białe sukienki na siebie włożę?
I gdzie je znoszę, gdzie?

Raz nad wieczorem, a było to w miesiącu Listopadzie, wracała z poręby lasu, dokąd po zabłąkaną krówkę pobiegła, i myśli sobie żałosnie i wzdycha niekiedy, gdy w tem słyszy zdaleka jakiś śpiew wesoły. Przystanęła, śpiew był coraz głośniejszy, aż wreszcie słyszy te słowa piosenki żołnierskiej.

„Stoi żołnierz na kwaterze
Ostatnią gęś babie bierze,
Hej! chłodno i głodno,
Żyjem sobie swobodno!

Baba idzie do rotmistrza,
A gęś z garnka łeb wytrzeszcza,
Hej! chłodno i głodno
Żyjem sobie swobodno!“

Obejrzała się dziewczyna, aż tu spostrzega jadących drogą dwóch rycerzy, każdy z nich przy pałaszu, miał błyszczącą blachę stalową na piersiach, i każdy prócz tego, że jechał na dzielnym koniu, prowadził jeszcze luzem drugiego konia. Na tych luźnych koniach przytroczone były jakieś duże pakunki. Kiedy Hankę spostrzegli zdala, puścili się kłusem ku niéj, a ona z przestrachu zaczęła w gęstwinę lasu uciekać.

— Hanko moja! zawołał z nich jeden, nie bój się, to ja, twój Szymek, Hanusia moja! jadę zdrów i wesół z wojenki. Wtedy przystanęła zaczerwieniona od wzruszenia dziewczyna, i z otwartemi rękoma pośpieszyła do Szymka. Dwaj bracia zsiedli z konia, przywitali Hankę i wszystko troje pośpieszyli do domku rodziców Hanki. Stary gajowy i żona jego nie mogli się nachwalić, jak ładnie wyglądają, jacy z nich wojacy, jak wyładnieli, a szczęśliwa Hanka zajęła się przyrządzeniem ciepłego i słodkiego krupniku, do którego najlepszego miodu lipcowego użyła.

— Bóg nam poszczęścił, odezwał się Szymek, Turek pobity, a my wracamy zdrowi, i oto podarunki dla ciebie Hanusiu i dla Rodziców twoich. A że o tobie Hanko, niezapominałem nigdy, to patrz na to jest ten dowód. I pokazał Hance jej wstążkę czerwoną, którą

zawsze nosił na piersaich. Rozczulona dziewczyna łzę jasną otarła fartuszkiem. Rozłożył potem na stole piękne sznury pereł, złote pierścienie i drogie chusty, które na Turkach zdobył, to rozdzielił między rodzinę gajowego, a resztę, co miał w pakunku na koniu lużnym zawiózł staremu ojcu swojemu, dla którego też i Janek wiózł piękne podarunki. W domu Ciwunia radość była niezmierna, cała gromada przez kilka dni schodziła się do chałupy, a Szymek i Janek musieli im opowiadać i o wojnie, i o Turkach i o téj krysie, którą miał Szymek na licu od szabli Turka. I Janek opowiadał swoją niewolę, i jeszcze nie mało czasu upłynęło, nim mu włosy dobrze porosły na głowie, którą mu w niewoli ogolili Turcy.

W mięsopuście odbyło się wesele Szymka z Hanką, na które i dziedzic przyszedł, co swoim kosztem je wyprawił dla okazania swéj wielkiej radości i dla uczczenia wojaków.

PIELĘGNOWANIE CHORYCH.

Część Druga

Utrzymanie chorego (Hygiena.)

XV. *Użycie środków zewnętrznych.*

(*dalszy ciąg.*)

Seręgi bywają różnej wielkości: dla dzieci i dla dorosłych, sama rurka może mieć formę zakrzywioną, zakończoną podługowatym guzikiem, na którym znajduje się mnóstwo otworów (szpryca maciczna), lub też może być zrobioną z guttaperchy, co jest najlepszem dla chorych niespokojnych i mających guzy hemorojdalne. Dla nastrzykiwań ze saletrzanu srebra używa się seręga szklanna. W braku seręgi, do rurki przywiązać można pęcherz, który zastąpi cylinder i tłok.

Dają się lewatywy w różnym celu: najczęściej *dla poruszenia stolca* z wody zimnej lub letniej, albo z dodatkiem do nich 1 lub 2ch łyżek oliwy albo olejku rycinowego, lub też z naparzenia rumianku i mydła. Lewatywa silnie rozwalniająca robi się z 2ch łutów soli kuchennej, 4 łyżek octu i 18 łyżek wody; 2) w biegunkach dają się *lewatywy wstrzymujące* z pół łuta krochmalu, który się gotuje w 6ciu łyżkach wody wrzącej, czasem do takiej lewatywy z polecenia lekarza dodają się krople makowca. W krwawych biegunkach dobre są lewatywy wstrzymujące z pary surowych białek od jajka, 3) *lewatywy karmiące* dają się chorym nie mogącym połykać, robią się one z dobrego bulionu, w którym rozbija się para żółtek od jaja i dodaje się cokolwiek wina czerwonego, lewatywy te dają się co 3 lub 4 godziny po 4 łyżki na raz. Prócz tego są inne lewatywy zapisywane przez lekarzy z aptek np. z czarciem łajnem, z odwaru liści tytoniowych. i t. d.

Napełnia się seręga przepisanym płynem dwojakim sposobem, albo po uprzedniem wyciągnięciu tłoku i zatkaniu otworu rurki, wlewa się płyn do cylindra, albo też zanurza się rurka w płyn przeznaczony na lewatywę i wciąga się go wolnem wydobywaniem stępla. Potrzeba zważać, żeby nie było powietrza w serędze; dlatego po napełnieniu należy seręgę podnieść rurką do góry i wystrzyknąć cokolwiek płynu.

Dla dania lewatywy, chorego kładzie się na lewy bok, wydając pośladki za prawy brzeg łóżka, kolana przybliżają się do brzucha, pod pośladki podkłada się w kilkoro złożone prześcieradło. Osoba dająca lewatywę, smaruje koniec rurki oliwą i przyklęka na jednem kolanie przy łóżku chorego.

O hemorojdalnych.

Chorym osłabionym, i ze złamaniami daje się lewatywa w położeniu na wznak, przyczem kolana powinny być zgięte i uda oddalone od siebie. Dla dzieci małych obiera się położenie na brzuszku.

Dla wprowadzenia rurki, roztwierają się palcami lewej ręki pośladki chorego, i zaleca się choremu nadymanie się i wprowadza się w otwór stolcowy w kierunku ku pępkowi u dorosłych na 2 cale, u dzieci na 1 cal głęboko. Następnie palcami lewej ręki utrzymuje się mocno na miejscu rurka, a prawą ręką ujmuje się cylinder, wkłada się cynową jej osadę do rurki, i pociskając równo ale zwolna tłok, wstrzyknie się lewatywa do kiszki odchodowej. Poczem rurka wyjmuje się z otworu stołecznego, chory kładzie się na

wznak i stara się wstrzymać ciśnienie na stolec, przez 10 lub 15 minut; lewatywy karmiące i wstrzymujące powinny być jeszcze dłużej zatrzymane.

Po daniu lewatywy seręga powinna być oczyszczoną, rozebraną na części i nieprędzej na nowo złożoną, aż zupełnie wyschnie.

2. *Nastrzykiwanie do jamy ust i płókanie, pędzlowanie i tuszowanie. Nastrzykiwanie* robi się zapomocą zwyczajnej szprycki z długą rurką używanej do ran. Chory powinien stać prosto, lub siedzieć z opartemi o poręcz krzesła plecami, rurkę od szprycki wprowadza się na cal za zęby i kieruje się strumień ku miejscu cierpiącemu, po czem chory wypluwa płyn do podstawionej miedniczki. Nastrzykiwania do jamy ust robią się z płynów wskazanych przez lekarza. Wtedy gdy chory może dostatecznie usta otworzyć i dobrze szyją poruszać: zamiast wstrzykiwań robi się *płukanie* gardła następującym sposobem: chory siedząc lub stojąc nabiera do ust płynu do płukania, oddycha głęboko przez nos, przechyla głowę w tył, i wypuszcza zwolna nazad przez usta wciągnięte powietrze, co nie wypluwając płynu powtarza się kilkakrotnie. Do płukania lekarze zapisują rozmaite płyny, najczęściej używane są letnia woda, naparzenia siemienia lnianego z mlekiem lub miodem. Naparzenie szałwi z miodem, płukanie ałunowe składające się z 11 kwarty naparzenia siemienia lnianego $^1/_4$ łuta ałunu, i 2 łutów miodu, i płukanie boraxowe złożone z $^1/_2$ kwarty naparzenia szałwi $^1/_2$ łuta boraxu i 2 łutów miodu. Naznaczają się płukania przy cierpieniach migdałków, dzieci na łonie nie mogą robić płukań.

Pędzlowanie robi się zamiast płukania u dzieci, a u dorosłych wtedy gdy lekarz chce, aby lekarstwo zetknęło się tylko z pewnem miejscem jamy ust lub gardła. Do pędzlowania potrzebny jest pędzelek ze skubanki na kijku 8 cali długim i szpadelek. Chory siada do pędzlowania ku światłu, (wieczorem do oświecenia jamy gardła potrzebna jest świeca woskowa), i otwiera dostatecznie usta, wtedy osoba pędzlująca szpadelkiem lub łyżką, lekko przycisnąwszy język i odkrywszy tym sposobem gardło, powinna wprowadzić do miejsca pędzelek umoczony w naznaczonym płynie, i kilka razy miejsce to posmarować. Dla odkrycia lepszego przystępu do gardła, zaleca się choremu przegęcie głowy w tył i jednocześnie głębokie wdychanie. *Tuszowanie* robi się kawałkiem saletrzanu srebra, który powinien być dobrze umocowany do piórka lub w rurce od igielnika, żeby go chory czasem nie połknął, po pędzlowaniu lub tuszowaniu dorośli powinni wypłukać gardło letnią wodą, u dzieci zaś robi się nastrzykiwanie.

Prócz tego zapomocą zwyczajnej szprycki, mogą być robione nastrzykiwania do nosa, i do ucha. (*d. n.*)

Różności.

Coby robić powinny dobre a roztropne dzieci? Wiadomo każdemu, jak skrzętnie i roztropnie prczółka zbiera dla siebie pożywienie, jak następnie, to co już nie jest jéj potrzebne w ulu porządnie składa, a my z tego potem tak smaczny miodek, i pożyteczny wosk otrzymujemy.

O wieleż to więcéj mielibyśmy pożytku i przyjemności, gdybyśmy pszczółkę w przezorności i skrzętności naśladować chcieli; w porze teraźniejszej zjadamy tyle rozmaitych owoców, a ziarna i pestki z nich marnujemy za zwyczaj. Gdybyśmy dzieci nasze oświecili, że z tych ziarn i pestek mogłyby być znowu takież same owoce, to dzieci nasze tych ziarn i pestek, przynajmniej z owoców najlepszych nie wyrzucałyby, ale zbierałyby takowe. My sami uczynilibyśmy tak samo. A jak będziemy mieli ziarna i pestki owoców, zwłaszcza lepszych, nazbierane, dobrze wysuszone, to znajdzie się taki, co potrafi z nich zrobić właściwy użytek. Za granicą trzymają takie pestki i ziarna ogrodnicy, lub amatorowie pięknych ogrodów, sadzą lub sieją, i mają z tego w niewielu latach śliczne ogrody, wielkie dochody, a większą jeszcze radość taką, że te wspaniałe drzewa i smaczne owoce wyrosły właśnie z tych ziarn i pestek, które ciemni i niebaczni ludzie na śmiecie wyrzucają.

Przedpłata wynosi: w Warszawie rocznie złp. 12, — półrocznie złp. 6. — ćwierćrocznie złp. 3· — miesięcznie złp. 1 na prowincyi na wszystkich stacjach pocztowych bez kopert złp. 13 gr. 10.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem przedpłata bez kopert nie jest dozwoloną, oprócz należności zł. 3 gr.10 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po zł. 13 gr. 10 jak poprzednio, ale tylko po złp. 6 gr. 20 rocznie. Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W drukarni J. Ungra. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowej. —Warszawa dnia 16 Sierpnia 1863 r.